

Zero, Nie martw się Janku (prod. Leukocytowaty)

Chciałbym lecieć aż do nieba
Nawet jeśli tam nic nie ma

Mam takie marzenia, że
Już chyba o niczym nie marzę
Mam takie pragnienia, że mogę odmienić je tylko przez niewykonalne
I nocą, gdy przychodzi Diabeł
By usiąść na mojej pościeli
I spytać, czy w końcu zmadrzałem
To proszę, by diabli go wzięli

Tu też kiedyś było normalnie
Z boiska na oranżadę
A teraz niebo mi płonie za oknem
Gdy proszę cię o zmiłowanie
Pamiętasz, jak było normalnie
Bo ja zapomniałem już prawie
I teraz, gdy gaśnie ostatnie ze świateł
Już tylko nadzieja nie gaśnie we mnie
To ciepło zaśnie we mnie
Ktoś mnie pociesza we śnie
Dziecino nie płacz więcej
Przecież jestem obok ciebie
Wyklejam żabki z bibuły - oczęta rozmarzone
Jaka jest siła sztuki, że ich prawdy nie podrobię
Znów miałem sen o tobie
Tym razem byłaś słońcem
I przychodziłaś do mnie
Po to, by zaraz odejść
Nocą się modle, by sprostać choć miłosierdziu w sobie
A za wezgłowieм diabeł znów przeklina moją prośbę

Chciałbym już stąd odejść
Ale nie mogę

Był siedemdziesiąty ósmy
Głupi oddałem mu połowę duszy
Osiemdziesiąty, szpitale, koledzy chodzili już do zawodówki
Osiemdziesiąty dziewiąty: Voyager odwiedza Neptunę, a mnie znowu dusi
Mogłem się przecież spodziewać wszystkiego, choć nie tego, że mi odpuści

Słyszę głos Afrodyty
Sopot mi śpiewa hity
Łamię Havane - winyl
Lecą strzępy czarnej płyty
Już nie posłucham nigdy
Takiej ładnej muzyki
Myśli nachalne całymi dniami jak satelity
Spadają rzędy donic
Mama się ciągle modli
Wciąż dzwonią telefony
Wracam na oddział chory
Życie nie było łatwe
W latach dziewięćdziesiątych
Nie było Boga, ja na dzień
Sam jeden opuszczony
Teraz demony znów pytają, czego chciałbym od nich
Diabeł się mości na pościeli, w nogach białej kołdry
I nagle znika pewny uśmiech spod rogatej głowy
Gdy odpowiadam, Diable, to nie leży w twojej mocy!

Chciałbym już stąd odejść
Ale nie mogę